Rok I. — Nr 7.—8. PODWÓJNY NUMER LIPCOWY CENA EGZEMP. 40 GR

Okienko na Świat

Pismo dzieci i młodzieży

DWUTYGODNIK — WYCHODZI DN. 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA

Wydawca i redaktor odp.: Dr. Henryka Fromowicz-Stillerowa Redaktor: Marta Hirschprung

WSZYSTKIM NASZYM KOCHANYM CZYTELNIKOM
ŻYCZYMY WESOŁYCH I POGODNYCH WAKACYJ!
REDAKCJA „OKIENKA NA ŚWIAT"

MINKA SILBERMAN

Pożegnanie ze szkołą

Taki nam cię żal ty szkoło,
taki żal... kochanie...
Odchodzimy na tak długo,
ty jedna — zostaniesz.

Na twych długich korytarzach
cisza uśnie błogo —
A my wtedy iść będziemy
wolną, złotą drogą.

Biedna szkoło... Gdyby można
wziąć cię do plecaka,
i wędrować z tobą razem
po słonecznych szlakach...

Szkoło! gdybyś raz słyszała
o czym szumi trawa...
Lub jak niebo się przegląda
w cichych, mrocznych stawach



Rys. R. Apte

Gdyby ci zaśpiewał wietrzyk
taki wiejski, młody,
Gdybyś tylko raz użyła
lipcowej swobody..

Gdybyś mogła raz zobaczyć
srebrne, miękkie fale,
jużbyś sztywną i poważną
być nie mogła wcale.

A ty szkoło stoisz sobie
w ziemię wmurowana.
Naszą jesteś. Przecież ciebie
postawiono dla nas.

A my dzisiaj iść musimy,
bo nas lato woła.
Teraz wiemy, żeśmy — ludzie,
a ty — tylko szkoła.

W czasie wakacyj — gdziekolwiek będziecie —
rozpowszechniajcie „Okienko na świat"!

MOWSZA SZMULEWICZ

Chaim Nachman Bialik

(1873—1934)

Trzy lata mija od dnia gdy straszna wieść obiegła cały świat żydowski — Bialik największy poeta żydowski nie żyje.

Świeżo mamy w pamięci wielką żałobę, która okryła nas w owej chwili. Każdy Żyd, stary czy młody, czuł się jakby osierocony, a gdy dziś w rocznicę Jego śmierci pragnę napisać kilka słów o wielkim i ukochanym Bialiku, przyznaję, że ręka mi drży i smutek i ból na nowo wypełniają moje serce, na myśl, że mam pisać o niepowetowanej stracie wielkiego Geniusza i wspaniałego Człowieka.

Miałem i ja to wielkie szczęście i zaszczyt należeć do wielotysięcznych rzesz, uczniów Bialika, dlatego niechaj wolno mi będzie mówić dziś do Was, moi Kochani, o naszym Mistrzu.

*

Naród żydowski, jak zresztą inne narody, ma swoich bohaterów, poetów, filozofów i innych wielkich ludzi. Z dumą stwierdzamy, że nasza historia pod tym względem, nie jest bynajmniej uboższa od historii innych narodów.

Napewno słyszeliście o naszych Prorokach, Tanaitach, Gaonach. Jehudzie Halewym, Maimonidesie i innych. Otóż Bialik był jakby ogniwem w tym wielkim złotym łańcuchu, który strzeżony będzie po wszystkie czasy przez Naród żydowski.

*

Chaim Nachman Bialik urodził się na Wołyniu w domu pobożnych i uczonych rodziców. Dzieciństwo swoje spędził na wsi, wśród pól i lasów, a bogata przyroda Wołynia wpłynęła na Jego późniejszą twórczość. Kiedy miał lat 7, odumarł Go ojciec i od tego czasu żył z matką ukochaną w nędzy i niedostatku.

Młodość zaś zamknął Bialik w murach jeszibotu i przez szereg lat wzbogacał swą duszę w wielką wiedzę judaistyczną. Sławnym jako poeta, pisarz i wydawca hebrajski staje się Bialik po wielu walkach z przeciwnościami losu, zdobywszy sobie miłość i podziw współczesnych Mu Żydów. W Erec Israel, gdzie spędził ostatni okres swego życia, znany był Bialik także ze swej miłości do dzieci dla których stworzył śliczne bajki i wierszyki, a dzieci również odpłacały się serdecznym przywiązaniem i uwielbiały tego wielkiego Przyjaciela.

W czym się objawia wielkość naszego Mistrza? Olbrzymia i głęboka wiedza żydowska, cudowny język hebrajski, który od czasów Jezajasza znalazł w Nim dopiero swego Mistrza i Czarodzieja, wspaniałe opisy przyrody, piękne legendy biblijne i przemiłe pieśni ludowe wywołują u nas zachwyt dla poety, ale dopiero w Jego poezjach narodowych, ukazuje się Bialik w całej swej wielkości. Był on wiernym synem Narodu i każde cierpienie Żydów, było Jego osobistym cierpieniem. Czytamy Jego pieśni o niedoli żydowskiej i czujemy jak krwawiło to szlachetne serce przy każdym opisie smutnego losu braci. Ale nasz Bialik nie tylko smutne pieśni nam zostawił. W najgorszych chwilach dodawał nam otuchy i podtrzymywał na duchu, wskazując drogę do wyzwolenia, a jego mocna pieśń „Techezakna" stała się dla nas symbolem potęgi i nadziei.

A Wam, moi Kochani, powiem tylko jedno. Oby Wam danym było zaliczyć się także do wielkiej armii wiernych uczniów Mistrza, wczytywać się w Jego utwory i z nich czerpać wiele sił dla siebie i dla całego Narodu.

CH. N. BIALIK

„Kto przyprawił dudkom koronę z piór?"

spolszczył **Salomon Dykman**

Zbudował król Salomon w dalekiej pustyni, hen, za górami wspaniałe miasto, pełne ogrodów czarownych, wiszących w powietrzu, między ziemią a niebem, a nazwał je Tadmor. Udawał się tam czasami, gdy bywał znużony życiem pałacu w stolicy. A miał Salomon orła potężnego, szerokoskrzydłego, dosiadał go, jak wierzchowca i latał po niebie, kiedy chciał. A gdy pragnął ujrzeć swoje Tadmor ukochane, wsiadał na ptaka i po chwili był w głębi pustyni. Odpoczywał w pięknym grodzie, a potem wracał w milczeniu. Nikt nie znał jego wyjazdu i nikt o jego powrocie nie słyszał. Tak to czynił zawsze król Salomon, władca Izraela.

*

Pewnego dnia wyruszył król Salomon na swym orle potężnym do ulubionego Tadmoru. Był on w połowie drogi, gdy nagle upalne słońce na pustyni sprażyło go żarem. Król zemdlał z wyczerpania i bliski był upadku. Napróżno rozglądał się dokoła, skąd spłynie ratunek; ale oto rój maleńkich dudków nadfrunął z dali ze swym królem na czele. Gdy zaś król dudków ujrzał bladego Salomona, pośpieszył doń z całym zastępem swych ptaków. Rozpostarły one nad nim swoje skrzydełka tak, że utworzyły wielki, wielki wachlarz. Słońce go już nie piekło i po chwili ożył na chłodzie. A gdy zobaczył nad sobą miłosierne ptaki, zwrócił się do nich z podzięką:

„— Oto wyświadczyłyście mi dzisiaj wielką przysługę, moje drogie ptaszęta, przysięgam więc na moje berło, że was nie puszczę bez daru. Proście mię, o co wasza dusza zapragnie, a ja spełnię każde wasze życzenie!..."

Dał im król Salomon określony czas do namysłu. Dudki zaś naradzały się przez dzień cały. A potem przybył ich Król do Salomona z prośbą w imieniu swego narodu.

Rzekł więc król Salomon do dudka:

— Czyś dobrze się zastanowił nad prośbą?

Odpowiedział dudek:

— Ja i mój naród namyślaliśmy się długo. I oto nasza prośba: pragniemy otrzymać złote korony na głowie.

Odparł Salomon:

— Życzenie wasze się spełni. Dostaniecie złote korony. Ale wiedz, że niemądrze prosisz. Ale gdy was nieszczęście spotka, i pożałujecie waszej prośby, przyjdźcie do mnie, a ja wam mej pomocy nie odmówię.

*

Wyszedł więc król dudków ze złotą koroną na głowie i reszta jego podwładnych podobne wieńce otrzymała. Wzrosło teraz ich serce dumą i chodziły teraz dudki pełne pychy i pogardy dla innych ptaków. Spacerowały sobie zawsze nad brzegami mórz, wód i strumieni, aby przeglądać się w zwierciadle fal. Stroiły się teraz i wdzięczyły przed lustrem. Ale najwięcej pyszniła się królowa. Sie-

(Dokończenie na str. 11-tej)

CH[illegible]I LÖW

MAŁY DORI*)

(Z dzieciństwa Teodora Herzla)

Przy ulicy Tytoniowej, niedaleko synagogi, stał dom podobny do wszystkich innych domów dawniejszego Pesztu, stanowiącego obecnie dzielnicę Budapesztu. Jedno piętro tego domu zajmowała rodzina Herzlów.

Ojciec rodziny Jakub, zajęty bardzo interesami, przekazał żonie swojej wychowanie dzieci. Żądał on stanowczo, ażeby jego mały synek Dori, — jak go nazywano wówczas — uczył się także języka hebrajskiego. Sam znał język, chciał więc, ażeby i syn jego poznał mowę ojców.

To też pan Adolf Ibitsch, student prawa, przychodził codziennie do chłopczyka uczyć go języka hebrajskiego. Jednakowoż Dori nie bardzo pilnie przykładał się do nauki. Ten szczupły chłopczyk o czarnych, błyszczących oczach i kruczo-czarnych włosach przebywał często w świecie marzeń i snów, od których nie lubił i nie chciał się odrywać.

W takich chwilach nie łatwo było panu Ibitschowi radzić sobie ze swoim małym uczniem. Dori patrzył wtedy nieruchomo przed siebie, lub w punkt jakiś na suficie, i na każde pytanie nauczyciela odpowiadał „nie wiem“ lub „nie mogę“. Nie pomagały wtedy ani wyrzuty ukochanej przez niego matki, ani słowa siostrzyczki Poli, która groziła, że nie będzie bawić się z nim więcej. Zawsze wesoły i skory do psot, Dori stawał się wówczas dziwnym i upartym dzieckiem.

Pewnego razu nauczyciel wszedłszy jak zwykle o 5-ej popołudniu do pokoju, nie zastał w nim małego Dori. Nie zdziwił się bardzo. Nie pierwszy to raz zdarzało się, że Dori zapominał o swojej lekcji.

Zaczęły się nawoływania. Dori! Dori! Nikt nie odpowiada. Wołała matka, wołały siostry, nawet kucharka wołała. Szukano go po wszystkich pokojach, w kuchni, na podwórzu. Dori znikł. Miano go już szukać na strychu, gdzie niejednokrotnie szukał samotności nasz mały marzyciel, gdy matka postanowiła raz jeszcze zaglądnąć do pokoju dziecinnego. Gdy weszła, posłyszała nagle szelest przewracanych kartek. Zaglądnęła za dużą szafę, skąd szelest ten dochodził i oto co zobaczyła: Dori siedział sobie najspokojniej w świecie w kąciku, pogrążony w czytaniu.

— Co robisz tutaj? — zapytała pani Żaneta z wyrzutem.

Dori podniósł głowę znad książki i poparzył na matkę.

Matka przeraziła się. Twarz dziecka płonęła, a oczy błyszczały jak w gorączce, kiedy zdumiony odpowiedział: — Czytam matko.

— Wołamy cię już od kilku minut, przeszukaliśmy każdy kąt w mieszkaniu i nawet miałam zamiar szukać cię na strychu. Nauczyciel przyszedł. Czeka na ciebie w salonie.

— Wybacz matko, nie wiedziałem, że nauczyciel przyszedł, nie słyszałem wołania. — I powoli, zamyślony, udał się do salonu. Matka wzięła do ręki książkę, którą czytał Dori. Tytuł tej książki, napisanej przez inżyniera Lessepsa, brzmiał: „Jak przekopałem kanał Sueski“! Potrząsnęła głową z niepokojem.



Teodor Herzl z siostrą swoją Pauliną.

Na lekcji hebrajskiego Dori był wciąż jeszcze bardzo zamyślony. Nie odpowiadał na pytania nauczyciela, a wyraz jego twarzy zdradzał, że nie zdaje on sobie sprawy z tego, co nauczyciel mówi do niego i o co pyta. Myślami błądził daleko, daleko, w zupełnie innym świecie.

Po pewnym czasie nauczyciel przerwał lekcję i przez chwilę w pokoju panowała głęboka cisza. Nagle chłopczyk jakby z głębokiego snu obudzony, zwrócił się do nauczyciela:

Panie nauczycielu! Czy jest jeszcze na świecie miejsce, gdzie można by wykopać głęboki kanał? Obawiam się, że kiedy dorosnę, nie będzie już pracy dla mnie. Wszystko będzie już zrobione beze mnie.

Nauczyciel uśmiechnął się. Nie bój się dziecko! Jest jeszcze bardzo dużo do zrobienia na świecie. Nigdy człowiekowi nie zabraknie pracy.

Ale kanału takiego jak kanał Sueski już nie będzie chyba?

Nie troszcz się o to Dori — uspakajał go nauczyciel — pracy nie trzeba daleko szukać. Oto mapa. Popatrz na kraj, rozpościerający się nie daleko kanału Sueskiego. Czy wiesz jak się ten kraj nazywa?

Palestyna — odpowiedział chłopczyk zdumiony.

Słusznie dziecko, to jest właśnie Palestyna, ziemia ojców naszych. Otóż kraj ten, dawniej mlekiem i miodem płynący, teraz jest pustynny, zaniedbany. Czyż nie wielką i piękną pracą byłoby ponowne ożywienie tej tak żyznej dawniej ziemi? Osuszenie jej bagien, użyźnienie miejsc pustynnych, zalesienie nagich gór i skał? Wtedy wielu Żydów cierpiących niedostatek, wędrujących z kraju do kraju w poszukiwaniu chleba dla siebie i rodzin swoich, mogłyby wrócić do ziemi ojców swoich.

Twarz chłopczyka rozjaśniła się.

Żydzi wróciliby do swego kraju? O, to byłoby wielkie dzieło. O wiele większe od dzieła Lessepsa. Dla tego warto się trudzić. Panie nauczycielu! Teraz będę się bardzo pilnie uczyć języka hebrajskiego.

Nauka rozpoczęła się na nowo. Dori z zapałem zabrał się do czytania i powtarzania lekcji.

Po pewnym czasie przerwał jednak naukę pytaniem:

Prawda, że moi koledzy nie będą już mogli pysznić się swoim krajem? Przecież Palestyna jest większa od Węgier?

Nauczyciel uśmiechnął się znowu.

Nie kochanie! Palestyna jest 5 razy mniejsza od Węgier.

5 razy mniejsza?... — powtórzył Dori zasmucony. Popatrzył na mapę, porównał Palestynę z innymi krajami i przekonał się, że nauczyciel ma rację. Oczy jego napełniły się łzami.

Nie pomogły słowa nauczyciela, który starał się pocieszyć go, mówiąc, że mimo małego obszaru, można stworzyć tam wielkie i wspaniałe dzieło; można stworzyć kraj dla narodu żydowskiego. Trzeba tylko pracować bez przerwy. Dori jednak nie mógł zrozumieć, dlaczego naród żydowski posiada taki mały kraj? Dlaczego?

I mimo słów pociechy serduszko bolało go bardzo, a oczy jego były pełne łez. Dori był bardzo, bardzo smutny. Tego wieczoru położył się do łóżeczka bez kolacji.

Przekł. z hebr. H. Ginzig.

---

*) Opowiadanie to zamieszczamy w związku z przypadającą w tym miesiącu 33-cią rocznicą śmierci *Teodora Herzla*.

AWITAL DORTHAYMEROWA

Różowy czepek

Zenia wróciła ze szkoły blada i zmęczona. Wcześniej niż zwykle poszła do łóżeczka. Babunia siedziała obok z robótką. Zenia babunię swoją bardzo kochała.

— Opowiedz mi bajkę, proszę, babuniu — szepnęła mała.

— Dobrze dziecinko! — odpowiedziała babunia zapatrzona w jakąś daleką przestrzeń. I snuła cichą opowieść:

— Kiedy byłam jeszcze mała, miałam dużo koleżanek. Najbliżej naszego domu mieszkała Haneczka. Rodzice jej mieli trafikę, a domek ich niski i biały stał tuż przy drodze; — był czysty i schludny, wyglądał jak cacko z białej porcelany.

Pewnego letniego wieczoru umówiłam się z Haneczką, że rano pójdziemy kąpać się do rzeki.

Ranek wstawał ociężały jakby ziewał z niewyspania. Ostatnie gwiazdy już dogasały, a ptaki odmawiały swoją modlitwę poranną. Słońce leniwie wynurzało się z purpurowych puchów wznosząc się coraz wyżej. Nagle — mówiła dalej babunia — uczułam i ja ciepły pocałunek promieni. Otworzyłam oczy — było już pełno światła w pokoju. Więc wybiegłam z łóżka, włożyłam sukienkę i porwawszy przygotowany pakunek — wymknęłam się cichaczem z mieszkania.

Ulica jeszcze spała. Tylko ptaszki, jakby ze snu ludzkiego korzystając — snuły swoje śpiewne szepty i nawoływania:

— ciw, ciw, ciw!!!
— ćr... ćr... ćrrr...
— czyk, czyk, czkaa!...
— śr! śr, śrr!...

Aż do tych miękkich, jasnych rozgwarów dołączyły się inne głosy — ciemniejsze: huuuuu... bim... bom... bim... bom... bam... bom... bim!...

Małe, zaspane domki stały w płomieniu, a zaognione szybki jakby strzegły ciepłego snu domowników.

Owładnęło mną niewysłowione uczucie radości. Przybiegłam pod dom Haneczki, lekko zapukałam do jej okna. Po chwili wybiegła i ona, choć jeszcze nawpół śpiąca.

Chwyciłyśmy się za ręce i w pląsach przebiegłyśmy ulicę, prowadzącą do rzeki.

Z obu stron drogi — białe zagrody budziły się już do życia. Kury wodząc za sobą szeregiem ustawione kurczęta — gdakały poważnie: ko—ko—ko—kooo! — Nawet piesek jakiś hasał merdając ogonkiem wesoło.

Wkrótce znalazłyśmy się już na ogromnej polanie u stóp majestatycznej góry „Horodyszcze“, okolonej przecudną, niebieską wstęgą lśniącej Bystrzycy. Było tu niezwykle pięknie. I objęła nas tęsknota za czymś nieskończonym — wiecznym. Wsłuchiwałyśmy się jakby w nadziemską jakąś muzykę, płynącą zewsząd z przestrzeni, jakby śpiewającą o Stwórcy. Zastygłyśmy w zachwycie. I długo trwałoby nasze zamyślenie, lecz fale, swoim pluszczącym szeptem, zbudziły nas z zadumy.

Spojrzałyśmy na siebie z serdecznym, cichym uśmiechem zamyślenia... Po chwili — wbiegłyśmy do rzeki.

Miły chłód przeniknął ciała. Chciało się ramionami ogarnąć całą dal kryształowej toni — zanurzyć się w niej i znowu wypłynąć na powierzchnię migotliwo wilgotną — tysiącami barw lśniącą. Płynęłyśmy w tej chłodnej świeżości. Zapomniałyśmy o wszystkim, co istnieje poza słońcem, powietrzem i wodą, zagubione w nieskończonej przestrzeni świateł i cieni.

Wtem — — przeszył powietrze przeraźliwy krzyk kobiecy: łapcie!... łapcie!... mój czepek! —

Przerażone ujrzałyśmy kąpiącą się obok młodą kobietę, której fale wodne zerwały w czasie kąpieli czepek z głowy. Zrozpaczona niewiasta z ogoloną głową — bez włosów i bez czepka wzywała bezsilnie pomocy: łapcie!... mój czepek!... — a przeraźliwy krzyk wyrywał się z jej piersi.

Na widok ogolonej głowy kobiecej parsknęłyśmy z początku dziecinnym śmiechem. Po chwili spostrzegłyśmy czepek: — różowy z białym rąbkiem koronkowym, kołysany przez fale środkiem rzeki — odpływał nieodparcie coraz dalej i dalej.

Stałyśmy długo w niemym bezruchu, patrząc bezradnie za znikającym z oczu czepkiem. W jakiejś chwili nie było go już widać. Odpłynął, by już nigdy nie wrócić. Zostawił w nas dziwny smutek i żal.

Aż ciepłe promienie słoneczne przypomniały nam, że zbliża się czas nauki w szkole i że trzeba wracać.

W domu czekała Matka z serdecznym uśmiechem i ciepła pachnąca kawa.

Przebrałam się w świeżą bladoniebieską sukienkę i ciemnoróżowy fartuszek, wzięłam teczkę, i pożegnawszy czule matkę wybiegłam z domu.

Uliczki świeżo zamiecione opalały się już długo w słońcu. Na białym podmurowaniu stojąca apteka była zamknięta. Ulica sądowa lipami gęsto obsadzona — stała świeża i chłodna.

Dziedziniec szkolny otoczony płotem kolczastym — roił się od dzieci.

Koleżanki oczekiwały mię niecierpliwie: tej trzeba było pokazać jeszcze jakieś zadanie rachunkowe, tej polskie; tamtej opowiedzieć historię — owej przyrodę! Tu Symka, tu Bronka — tu Mania! Ta woła głośno, ta szarpie — ta prosi... Aż dzwonek...

Tu urwało się opowiadanie babuni. Jakby się z jasnego snu obudziła. Spojrzała na ulicę przez szeroko otwarte okno. Na granatowym niebie migotały już gwiazdy i księżyc wypływał blady z zadumy.

Babunia oparła się o framugę okna — w milczeniu, myślą zaś przeniosła się daleko — w złotą przeszłość słoneczną. W jej duszy znowu odżyła jasna i świeża młodość, która jakby dopiero wczoraj wymknęła się z jej dłoni jak śnieżno biały motyl.

— Odpłynęła — szeptała — odpłynęła złota, jasna; odpłynęła i nie wróci — jak ów różowy czepek.

W pokoju ciemny mrok. Zenia już spała. Gdzieś daleko słychać było tylko ciche poszczekiwanie psa.

„OKIENKO NA ŚWIAT“

zapowiada swe plany na najbliższe tygodnie.

Ze względu na wyjazdy wakacyjne wydaliśmy zamiast 2 numerów z 1-go i 15-go lipca — dzisiejszy **podwójny** numer lipcowy, który sprzedawany będzie w kioskach przez całe wakacje także w zdrojowiskach.

Numerów sierpniowych „Okienka“ nie będzie, gdyż „Okienko“ także musi wypocząć. Dopiero z końcem sierpnia ukaże się pierwszy powakacyjny numer z datą 1-go września.

Zaznaczamy, że abonentom, którzy zapłacili za sierpień abonament liczyć się będzie o jeden miesiąc dłużej z powodu przerwy jednomiesięcznej w sierpniu.

Abonentów, których prenumerata kończy się dnia 30 czerwca prosimy o **rychłe odnowienie prenumeraty** celem uniknięcia przerwy w wysyłce „Okienka“.

Po wakacjach rozpoczniemy druk pięknej powieści dla młodzieży znakomitego poety MAURYCEGO SZYMLA

JULIUSZ FELDHORN

Elamita w Sodomie

(Z Księgi Legend)

(Dokończenie)

Gawęda przy kielichu przeciągnęła się do zachodu słońca, a wtedy uprzejmy gospodarz nie chciał puścić Elamczyka, mówiąc:

— Panie, nie pozwól, bym na obmowę narażał siebie i rodzinę swoją: Bo cóż powiedzą sąsiedzi, gdy zobaczą, że gość w noc wyjeżdża z mego domu? Napewno zawołają: Niegościnny jest Hedod i głodem morzy tych, którzy do niego zajeżdżają, więc w nocy, ukradkiem uciekać odeń muszą.

I tak pozostał Elamita w Sodomie przez dwa dni i dwie noce, aż nakoniec postanowił odjechać. Wstał więc wcześnie, osiodłał osła i podziękowawszy za gościnę, rzekł:

— Hedodzie: Oddaj mi, proszę, pas mój złotem przetykany, w którym jest czterdzieści srebrników, abym mógł odjechać spokojnie.

Wtedy chytry Sodomczyk zrobił minę zdumioną i niewinną:

— Pas? Pas? Srebrniki? O śnie swoim mówisz zapewne, gościu, któryś miałeś dzisiejszej nocy. Wytłumacze ci go chętnie, bo jestem największym w Sodomie wróżbitą. Życie twe będzie długie, tak długie, jak pas, o którym śniłeś, a pieniądze oznaczaja bogactwa, które posiędziesz. Szczęście niechaj ci służy zawsze, gościu: Ale... ale... za poradę wróżbity płaci sie w Sodomie cztery srebrniki. Dla ciebie zniżę cenę o jednego srebrnika, lecz musisz mi zapłacić, zanim opuścisz mury miasta.

Elamita zdumiał się i przeraził. Począł tłumaczyć Hedodowi, że wieczorem pierwszego dnia swego pobytu oddał mu rzeczywiście pas z pieniądzmi. Gdy Hedod obstawał przy swoim, począł go prosić, a wreszcie domagać się zwrotu własności i wołać głośno:

— Okradziono mnie w Sodomie: Hedod mnie okradł

Przystanął tłum gapiów, aby słuchać ich sprzeczki, a w tem z domu wybiegła żona Hedoda i jęła wrzeszczeć:

— A to ci gość szlachetny! Niech go Bóg pokarze do ostatniego pokolenia. Dwa dni i dwie noce mieszkał u nas. Jadł za czterech, aż mu brzuch urósł jak garb wielbłąda. Pił, aż mu w gardle gulgotało. Oddaj nam wynagrodzenie za gościnę, niewdzięczniku, bo ci twarz podrapię tak, że podobna będzie do szaty malowanej w czerwone kratki.

Wreszcie krzycząc i kłócąc się poszli wszyscy przed sędziego w Sodomie.

— — — — — — —

Sędzia Sodomy nazywał się Sakrira, to jest wielki kłamca. Zwyczajem jego było słuszność przyznawać mocniejszemu.

Gdy Hedod i Elamita przedstawili mu swą sprawę, zmarszczył groźnie brwi i rzekł:

— Czy po to przybyłeś do nas, cudzoziemcze, by waśnić się o sny swoje z mieszkańcami Sodomy? Zapłać zaraz Hedodowi za wróżbę i odejdź, aby ciebie oczy nasze nie widziały więcej.



Rys. R. Apte

Na to Hedod zawołał:

— Obniżyłem mu cenę wróżby, gdyż był moim gościem, ale że mnie na wstyd naraził, tedy cofam, com rzekł wtedy. Prawo Sodomy każe płacić za wróżbę cztery srebrniki.

Zaś żona Hedoda zawołała:

— Nie gościem był, lecz oszustem, który nas ogołocić chciał z jedzenia, a potem i z pieniędzy. Sprawiedliwem jest, by nam zapłacił za gościnę, bo on i osieł jego zjedli strawy za pięć srebrników.

— Zapłacisz tedy, — rzekł sędzia, — dziewięć srebrników i odejdziesz wolny.

— Nie mam już ani grosza, — zajęczał nieszczęśliwy Elamita.

— Więc oddasz Hedodowi swego osła, — zawyrokował sędzia i kazał im odejść.

Skoro znaleźli się na ulicy, Hedod chwycił osła za uzdę, aby go odprowadzić. Elamita chwycił uzdę z drugiej strony i nie chciał puścić. Hedod począł go obrzucać najgorszymi przekleństwami, aż Elamita, wyprowadzony z równowagi, podniósł kamień i rzucił nim w głowę Hedoda. Z rany popłynęła krew.

Sprawa wróciła znów przed sędziego.

— Nie chciał mi oddać osła, — jęczał Hedod — a potem zranił mnie ciężko.

Wtedy Elamita rzekł spokojnie:

— Jestem w Elamie wielkim i znanym lekarzem. Hedod był zły i krew uderzyła mu do głowy tak, że byłby umarł w następnej chwili. Wiec nie namyślając się długo, spowodowałem upust krwi, jak tego wymagają przepisy mojej wiedzy. Zawsze tak postępuję w podobnych wypadkach. Poradę lekarza tak sławnego, jak ja, wynagradza sie stu srebrnikami. Ale ten człowiek, któremu przed chwilą uratowałem życie, gościł mnie u siebie przez dwa dni. Godzę się więc aby mi dał tylko osła, który niedawno należał do mnie i pas złotem tkany, a w nim czterdzieści srebrników.

— Zapłać, Hedodzie, lekarzowi za uratowanie życia, — rzekł sedzia — i złóż mu dziękczynny pokłon.

— Nie mam pasa ani pieniędzy, — zawołał Hedod pieniąc się z wściekłości.

— Leży w skrzyni, na samym wierzchu, — odparł spokojnie Elamita. Każ, sprawiedliwy sędzio, zajrzeć swoim sługom.

Po chwili przyniesiono pas, przeliczono srebrniki i oddano wszystko Elamicie, który wsiadł na osła i szybko odjechał.

Co sie stało później z Hedodem, nie wiadomo. Mieszkańcy Sodomy mówili, że żona jego jest lepszym jeszcze cyrulikiem, aniżeli najsławniejszy lekarz Elamu.

ANDA EKER

Dzieci, które zostają w mieście*)

Może to będzie dziwne o czem chcę dziś pisać,
Może jeszcze się o tem wierszy nie pisało...
Ale widzicie: Już były, są i dzisiaj
Dzieci, które w swem życiu łąki nie widziały.

Niewiadomo kto krzywdę wymyślił na świecie? — —
Niewiadomo kto pomóc, kto poradzić może? — — —
Tu obok nas, tu blisko żyją takie dzieci
Dla których tylko dźwiękiem jest: „las", „wieś" i „morze"

Nie wiedzą nic o torze — wierzyć w prost nie można —
O szynach kolejowych, o budkach zwrotniczych
O drutach telegrafu, o słupach przydrożnych,
O nasypach zielonych... Niewiedzą o niczem...

Mieszkają przy rynsztoku, pod kasztanem w błocie,
W suterynach zatęchłych, gdzie jest bardzo czarno,
W oficynach porosłych grzybkami wilgoci
W podwórzach, albo w sieniach, na poddaszach parnych.

Zostają zawsze w mieście i nie jadą nigdzie,
Nie pakują zabawek, nie idą na stację
Bo są takie dzieci, które jeszcze nigdy,
Nie czuły jak cudownie święci się wakacje!...

Czasem słyszą jak z dworca wieczorem przylata
Długi, tęskny, przeciągły krzyk pociągów z dali... — —
...I myślą jak to dobrze spędzić na wsi lato...
Jak szczęśliwi są tacy, co już odjechali!...

A gdy krzyk wpadnie w ciemność jak w tunel ogromny,
Gdy zcichnie, a noc gęsta połknie go i zdławi
Dzieciom jest tak, jak gdyby Pan Bóg je zapomniał
Bo czemu, czemu teraz w mieście je zostawił? — — —

Głowy małe, zmęczone chowają w poduszkę
I chcą zasnąć. Próbują... (Tak strasznie gorąco...)
Rzucają się bezsilnie na starych, złych łóżkach
I nie mogą się zdrzemnąć chociaż są już śpiące —

...I marzą o polanie rozkochanej w słońcu
...O mrocznym, strasznym lesie, o chłodnej sadzawce
...O dobrej ciotce-lipie pszczołami brzęczącej
...I o małej pod drzewem przykucniętej ławce...

...O wietrze, który śpiewa w żytnich pióropuszach
...O świeżem, wonnem sianie skoszonem w południe
...O huśtawce, o ulu, jabłonkach i gruszach
...I o chudym żórawiu przy omszonej studni.

Widzą drogi wśród zboża, ścieżki i aleje,
Mały dom z gołębnikiem, malwy dzikie wino,
Śnią o rosie srebrzystej, co się w trawie chwieje...
(Mówiły im raz o tem dzieci z mezaninu).

Nie chcą, nie mogą pojąć, że w mieście zostaną
I że trzeba dzień cały patrzeć w wąskie okno
A za niem widać bruki chore i spękane,
Które żarzą się w lipcu, a we wrześniu mokną.

Że trzeba będzie śledzić tem oknem otwartem
Dymy, które się wiją i wiotko gdzieś płyną,
A potem blade, słabe po niebie roztarte
Wsiąkają w jasny obłok, chłoną biel i... giną.

Marzą dzieci po nocach nie mając odwagi
Rano zbudzić się w domkach gdzie się męczą, duszą,
Świt przynosi im prawdę nienawistną, nagą
O tem, że nie pojadą i że zostać muszą

— — — — — — — — — —

A gdyby pojechały, mogłyby pić mleko
Jeść czarny chleb razowy i wąchać akacje...
Ale wszystko to przecież jest równie daleko
Jak to, co się dla innych nazywa: WAKACJE.

O zmarłej poetce — wielkiej przyjaciółce dzieci

Pamięci Andy Eker.

Posłuchajcie, chcę Wam opowiedzieć o pewnej, młodej, bardzo młodziutkiej poetce, która pisała dla Was bajki i wiersze i zamieszczała je w przeróżnych gazetkach.

Ze wszystkiego, co było dla niej w życiu najjaśniejsze i najradośniejsze — najbardziej ukochała świat dzieci. Ale też i dzieci obdarzały ją miłością. To byli jej nagorętsi wielbiciele.

Dla małych czytelników wybierała też troskliwie z swej teki najpiękniejsze swoje wiersze. A choć jej samej było smutno i ciężko w życiu, dbała o to, by w tych wierszach i bajkach było dużo słońca, dużo pogody, by były jasne i ciepłe jak uśmiech dzieci, którym smutna poetka koiła swój ból i leczyła „chorą tęsknotę".

I często, kiedy w „brzydką, pluszczącą słotę" przychodziły do niej smutne myśli, kiedy świat wydawał jej się zły, gorzki i szary — wtedy w urojonej „łodzi tajemnicy" przenosiła się do przedziwnego „królestwa z geografii Bajki", któremu na imię „Słoneczny Światek" — światek szczęśliwych dzieci, „gdzie królem jest Słońce, a Miłość — królową".

Kochała ułudny świat bajki i miała w nim swoje ulubione rzeczy: „chatynki piernikowe, strome, szklane góry, faramuszki, androny, koszałki-opałki, klechty, brechty przedziwne, niebieskie migdałki, wielkie banie mydlane, banialuki bajeczne, krasnoludki, przygody i sny niedorzeczne — i wszystko co wszystkiemu na opak, na przekór i wszystko co za siódmą górą i za rzeką". To były jej najdroższe rzeczy, z którymi było jej naprawdę swojsko i szczęśliwie.

Ale nie zawsze można mieszkać w słonecznym kraju marzeń skrzydlatych. Wracała też często nasza poetka z tych podróży podobłocznych na ziemię do życia codziennego.

Lecz ten powrót na ziemię był inny — nie tak radosny. Bo i życie na ziemi jest inne — ciężkie, smutne i tyle w nich krzywd, bolów, „że nawet policzyć ich nie podobna".

*) *Wiersz ten wyjęty jest z książki dla dzieci „Słoneczny światek" (Lwów, Krawczyński, 1937).*

MARKI TIRSY

Największym skarbem małej Tirsy jest album z markami. Właściwie jest to tylko stary, zapisany zeszyt ze złożonymi na krzyż kartkami, w których chowa marki. Niewiele ich posiada i małowartościowe. „Prawdziwy filatelista“ nie raczyłby nawet spojrzeć na taki album, ale Tirsa nie rozstaje się z nim ani na chwilę. Stale coś tam układa, wygładza, przekłada. Bo marki (tak sądzi Tirsa) tak samo jak dzieci, lubią sobie ciągle szeptać do ucha swoje tajemnice i dowiadywać się czegoś nowego o sobie.

Są znowu takie, które zawarły „wieczystą przyjaźń“. N. p. ci dwaj dobrzy dziadziowie z amerykańskiej i czechosłowackiej marki. Lincoln (pan z amerykańskiej marki) opowiedział już przecież dawno Massarykowi (panu z czechosłowackiej marki) swoją historię, dzieje krwawych walk o prawa dla czarnych niewolników. On sam zna dokładnie zacięte walki Massaryka o prawa dla wszystkich uciemiężonych narodów.

Także pieczątki (amerykańska z San Francisko), (czechosłowacka z Marienbadu) opowiedziały sobie wszystkie cuda podróży. A jednak ilekroć Tirsa chce im zmienić towarzystwo, obaj dobrzy dziadziowie patrzą na nią tak smutno swymi rozumnymi oczyma, jakby mówili: Nie rozdzielaj nas, Tirso!

Śliczna, błękitna Palestyna ciągle się prosi, żeby ją dać koło Anglii. Pragnie wytłumaczyć staremu królowi, (bo może on naprawdę jest źle poinformowany) że chalucim żydowscy nic złego nie zrobią Arabom, ani nikomu na świecie. Odbudują tylko ojczyznę dla nieszczęśliwych braci w golusie. I, opowiada mu o tych wielkich, ciężkich wysiłkach i tej pracy, która wyczarowała kwitnące ogrody na niedostępnych drogach i lotnych piaskach. O wygodnych, asfaltowych kwiszach wykutych wśród granitowych złomów skalnych ofiarnymi dłońmi chaluców i słabych dziewcząt chalucek.

A marka angielska ciągle tylko odwraca głowę. Nic nie rozumie i nie chce wogóle słuchać.



Rys. R. Apte.

Więc Tirsa bierze smutną, błękitną Palestynę i pociesza jak umie. Tłumaczy, że przecież stary król już umarł, może ten „nowy“ będzie lepszy i sprawiedliwy.

Mały król jugosłowiański (ma on dopiero 12 lat) jest okropnie ciekawski. Każdej marce każe sobie tłumaczyć godzinami, jakie są w jej kraju rządy. Chce się dokładnie dowiedzieć„ które są te najlepsze. Najchętniej jednak rozmawia z marką rumuńską, bo ten dorosły król bardzo chętnie i grzecznie tłumaczy wszystko małemu władcy — swemu koledze.

Ale najgorsza sprawa z tym znaczkiem ze swastyką niemiecką; strasznie kłótliwy, wiecznie wszystkich obraża. Nawet ze znaczkiem z portretem Pana Marszałka Piłsudskiego nie może się pogodzić. Raz się z nim sprzecza o Śląsk, to znowu o korytarz; wszystko chce zabrać.

Pan Marszałek jest oczywiście oburzony, przecież to rdzennie polskie ziemie. Tirsa przeprasza Go bardzo grzecznie za niemiłe towarzystwo, aż znika groźny mars z czoła i Dziadek (który tak bardzo kocha dzieci) uśmiecha się znowu przyjaźnie do niej.

Markę niemiecką Tirsa musi oczywiście za karę zostawić samą.

...Może się jednak poprawi...

Podłużna, różowa marka włoska to znowu straszna „chwalipięta“. Stale wszystkim opowiada, jacy to cudowni ci jej Włosi, jak prędko zdobyli Abisynię, jak mężnie biją się w Hiszpanii i jaki to ten jej Duce, najmądrzejszy ze wszystkich ludzi. Tej marce to także b. trudno dobrać odpowiednie towarzystwo.

Białemu ptakowi helweckiemu (Szwajcaria) na błękitnym tle (pieczątka Saint Moritz) duszno i smutno w małym zeszycie. Przytulony do znaczka z Pieskową Skałą (pieczątka Kasprowy Wierch) marzy z nim razem o górach, lasach i skałach. Wśród wiecznych kłótni i sporów przeróżnych marek tęskni za tym krajem wolności i zgody, gdzie są równe prawa dla wszystkich mieszkańców. Za tą odwieczną ojczyzną wszystkich wygranych i pokrzywdzonych.

(Dokończenie na str. 10-tej).

Z głęboką troską i cichym wzruszeniem nachyla się poetka nad szarym, smutnym człowiekiem, którego dostrzega w życiu codziennym:

Oto w mrok ulic i zaułków miasta idą bezszelestnie miejscy latarnicy. Widzi ich poetka. Na czarnych, długich laskach roznoszą cicho płomyk chwiejny i drżący. „Latarnie — sztywne kwiaty o ciemnych kielichach“ zakwitają światłem — a w duszach latarników jest mrok. Któż o nich coś wie? Któż o nich coś słyszy? Jak przyszli cicho, tak cicho znikają z ulic — czarni miejscy latarnicy. Szarzy ludzie.

I myśli poetka o tych wszystkich szarych ludziach. I żal jej tych dzieci z zatęchłych suteryn, które nigdy nie wyjeżdżają na wakacje i tej panny sklepowej, co to sprzedaje najmodniejsze towary, a sama niemodnie ubrana chodzi w płaszczyku zrudziałym i kusym i tych wszystkich, wszystkich ludzi, co wiodą życie ubogie, marne i są jak ona — smutni i samotni.

* * *

W ubiegłym roku, w styczniu, przyszła śmierć i zabrała tę młodziutką poetkę. Umarła Anda Eker, ale pozostała po niej **bogata twórczość.** Jeszcze krótko przed śmiercią sama wydała pierwszą swoją książkę „Na cienkiej strunie“ i „Dobremu Ojcu“ ją poświęciła. Teraz oto dobry ojciec w rocznicę jej śmierci zebrał pozostałe jej utwory i wydał w trzech prześlicznych tomach, bogato ilustrowanych. Dwa z nich: „Słoneczny Światek“ — zbiór najpiękniejszych wierszy i bajek i „Ojców dzieje“ — piękne okolicznościowe opowiadania i wiersze o świętach, o wielkich mężach, o bohaterach żydowskich i o nowym budzącym się życiu w Palestynie, przeznaczyła poetka dla dzieci i młodzieży. W najbliższych tygodniach wyjdą z druku dalsze jej książki: „O Świerszczyku—Muzykancie“ i „Mama śpiewa kołysankę“.

Te książki mają być przedłużeniem jej krótkiego życia. Przyjmijcie je życzliwie, młodzi Przyjaciele, bo dla Was je z miłością napisała.

M. H.

Wypożyczalnia zabawek

Sklepy z zabawkami w wielkim mieście, to prawdziwe zaczarowane krainy.

Na stalowych szynach mkną tam przez wielkie sale długie pociągi, z malutkimi pasażerami. Przekładają się zwrotnice, opadają rampy, a malutki dróżnik powiewa czerwoną chorągiewką.

Na innej znów sali „kwitną" sporty zimowe. Prześlicznie ubrane laleczki w kolorowych czapeczkach, wełnianych szalikach zjeżdżają z góry na nartach, ślizgają się na zamarzniętej sadzawce lub bawią się wesoło na saneczkach. To malcy, a dorośli, poważni turyści z liną i czekanem wspinają się na stromy szczyt.

Brunatny, wesoły miś, sprosił gości na zabawę. Siedzą więc wszystkie zwierzęta przy suto zastawionym stole i ucztują. Poważny słoń z rudym, chytrym liskiem, kłapouchy osiołek z rozbrykaną małpką, obok dumnego lwa śmieszny różowy prosiaczek, ale już chyba najśmieszniej jest, kiedy żyrafa z tą swoją długą, żyrafową szyją chce schylić się do talerza.

Stop! Tu stacja benzynowa! (Napełniona mlekiem). Tu też zatrzymują się wszystkie nianie, bony, pielęgniarki, wszystkie wystrojone w granatowe czepeczki i białe fartuszki zajeżdżają pod „stację benzynową" ze swoimi bobaskami. Leży niemowlę w wózku, w przybranej koronką poduszeczce, a w ustach ma smoczek. Ze zbiornika, z „tanku" płynie gumowym wężem mleko do smoczków.

Tyle tu cudów, tyle zabawek! Któżby mógł opowiedzieć o tych wszystkich lalkach, wózeczkach, pokoikach, o tych wszystkich autach, piłkach, konikach, a te koła, obręcze, bączki i trąbki i gry przeróżne.

A wszystko się rusza, wszystko żyje i to może najbardziej wprawia dzieci w zachwyt.

Przed uroczystymi świętami także wielkie magazyny urządzają wystawy zabawek i wszystkie dzieci mogą oglądać te cuda. Magazyny przygotowują wtedy specjalne niespodzianki i zdaje się dzieciom, że ożyły najukochańsze ich bajki. Z pierniczkowego domku wygląda czarownica z „Jasia i Małgosi", „Czerwony Kapturek" wesoło wędruje przez las, a przy łóżeczku „Śnieżątka" czuwa sześć prześmiesznych brodatych krasnoludków.

Ale wiecie, dzieci, że kiedy ja wędrowałam po jednej z tych świątecznych wystaw, to było coś, co jeszcze więcej mię ciekawiło niż te wszystkie cuda: To twarze dzieci, którym pokazano zabawki. Każde inaczej patrzyło, każda twarzyczka coś innego mówiła. Były dzieci, których twarze się rozjaśniały a oczka zaczynały błyszczeć, byli chłopcy, ciekawscy, „inżynierowie" którym wyczytać można było z oczu, że ledwie mogą się powstrzymać, by nie puścić tego auta w ruch, by nie zajrzyć co jest „w środku" nie popsuć, nie pomajstrować. Były i beksy uprzyprzone, „jedynaki", które ciągnąc mamusie od jednej zabawki do drugiej kaprysiły: „kup mi tę lalkę, kup mi tę piłkę, ja chcę to i to i to". Wszystko by chciały zabrać dla siebie.

Były maleństwa, które wykrzykiwały i piszczały z radości na widok jakiejś bardziej kolorowej „ruszającej" się zabawki. Ale były i dzieci, które stały za oknem wystawowym smutne, przestraszone trochę. Dziwny się im wydawał ten „zaczarowany kraj, bo te dzieci nigdy nie miały swojej zabawki, nigdy nie bawiły się czystą, wystrojoną lalką.

*

* *

Może o tych właśnie dzieciach pomyślano, zakładając w Los Angelos wypożyczalnię zabawek. W dużej sali nagromadzono przeróżne zabawki, oznaczono je numerami, tak jak się to dzieje w wypożyczalni książek. Każde dziecko może wybrać sobie zabawkę jaka mu się najbardziej podoba, zabrać ją do domu i przez dwa tygodnie bawić się nią dowoli. Zabawkę oddaje się później do dezynfekcji a takich zabawek, które przy dezynfekcjach mogłyby się zniszczyć, nie ma wogóle w wypożyczalni.

Jeśli dziecku uda się zwrócić zabawkę nie zniszczoną, albo nawet zdarzy się, że dziewczynka uszyje dla pożyczonej lalki sukienkę, to może być pewna, że otrzyma tę lalkę na własność. Takich wypożyczalni zabawek powstaje w Ameryce coraz więcej.

*

A kiedy przypominam sobie czasem te smutne oczy niektórych dzieci za szybą magazynu zabawek, myślę, że taka wypożyczalnia jest czymś bardzo potrzebnym.

Nuśka Wietschner



IRENA SZCZEPAŃSKA

Listy dziecięce

Przyszły trzy dziewczynki w fartuszkach czerwonych
I przyszło trzech chłopców w czapeczkach zielonych.

Siedli w słoneczników listeczkach złocistych
I jedni do drugich tak pisali listy:

Że wiosna niebieska, że złote powietrze,
Że srebrne światełka pląsają na wietrze,
Że nocka błękitna, że domki ceglaste,
Że złote słoneczko śpi dawno za miastem.

Przyszły od dziewczynek do chłopców te listy
Biały i różowy i jeden ognisty

Chłopcy na to zdjęli swe piękne czapeczki
I znów do dziewczynek posłali listeczki:

Że zdrowy, razowy chleb będzie w niedziele
Że pszczoły się bronią, że gonią je trzmiele,
Że koty za płoty mkną w leśną gęstwinę,
Że róże w purpurze częstują się winem.

Potem listy nieśli hen, na polnych dróżkach
Chłopcy w swych czapeczkach, dziewczynki w fartuszkach.



Konfitury

— Kto pójdzie ze mną na targ? pyta matka.

— Ja! ja! krzyczą Marta i Juleczka. I prędko obie dziewczynki przygotowują się do pójścia z mamusią. Każda bierze swój koszyczek, mamusia swój i wychodzą.

— Co kupimy, mówi Juleczka.

— Masło, jaja odpowiada matka, potem trochę jarzyn: groszek sałatę, wiązkę marchwi i nowe ziemniaki.

— A owoce? pyta Marta, która je bardzo lubi.

— Tak, jeżeli znajdę maliny i porzeczki, zrobię galaretkę.

— Doskonale! My ci pomożemy, mamusiu.

Wielkie ożywienie panuje na ulicy Targowej. Pogoda jest piękna. Na brzegu chodnika stoją w rzędzie koszyki pełne kwiatów, świeżych jarzyn i apetycznych owoców.

— Oto piękne maliny! mówi mama. Po ile żądacie za nie?

— Pięćdziesiąt groszy funt, paniusiu, mówi wieśniaczka, nie znajdzie pani ładniejszych nigdzie. To pierwsze z mojego ogrodu.

Mamusia kupuje maliny. Marta będzie miała zaszczyt nosić je. Niedaleko znajdują porzeczki w kiściach.

Wkrótce ukończyły zakupy i wracają do domu. Marta i Juleczka prędko wypróżniają koszyk.

— Nie rozbijcie jajek, zaleca matka, ani nie zjedzcie wszystkich malin.

Po obiedzie córeczki przenoszą się do kuchni, obierają porzeczki. Potem stawiają na piecu wielki rondel miedziany. Do niego dają owoce, które zalewa się wodą. Ogień płonie i gotowanie rozpoczyna się.

— Nie dałaś cukru, krzyknęła nagle Marta.

Matka śmieje się.

— Jeszcze nie panno kucharko. Trzeba najpierw zagotować i wycisnąć sok z owoców. Tymczasem wytrzyjcie słoje i ustawcie je na stole.

Marta i Julka bawią się doskonale. Podwinęły rękawy, jak prawdziwe kucharki i czyszczą słoje z równym zapałem.

Skoro owoce są zagotowane wyciska się je mocno przez szmatkę. Matka umieszcza wtedy na wadze miskę pełną pięknego soku, czerwonego i pachnącego.

— Ile waży?

— Kilo i siedemdziesiąt pięć deka, mówi Marta.

— To znaczy 3 i pół funta, dorzuca Julka.

— No więc, mówi mama, trzeba dać tyle cukru ile soku. Ile jest soku, jeżeli miska waży 25 deka?

— Kilo i pół, objaśnia Julka.

— Trzeba więc jeden i pół kilograma cukru.

Cukier i sok daje się do rondla, który umieszcza się z powrotem na ogniu. Długą, drewnianą łopatką mieszają dziewczynki kolejno tę masę i zbierają pianę, która się tworzy na powierzchni. Rozkoszny zapach rozchodzi się po kuchni.

Po kwadransie galaretka jest gotowa Jaka to uciecha napełniać słoje tą piękną, czerwoną masą.

— Jest wspaniała! mówi Julka.

— Ale czy dobra? pyta Marta.

— Skosztujecie ją później, małe łakomczuchy, mówi mama. Każda z Was dostanie dobrą porcję na podwieczorek. Jutro zawiążemy słoiki papierem i umieścimy w szafie.

Małe kuchareczki oglądają swe dzieło z żywym zadowoleniem. Wieczorem przed zaśnięciem mówi Julka do Marty:

— Teraz umiemy robić konfitury... Nie ma odpowiedzi: Marta zmęczona śpi już głęboko.

Tłum. z franc.

Anita Pisekówna
ucz. IV. kl. szk. powsz.

RÓŻA RITTMANOWA

Młoda gosposia

Olka po kuchni się kręci
Z mamusią gotować chce obiad:
„Ja sama dziś wszystko zrobię!
Pozwól Mamusiu droga!

* * *

Sukienkę osłoni fartuszek
Ładnie obieram jarzynę?
Oj! Skaleczony paluszek —
To nic! szybko go sobie owinę.



Rys. R. Apte

Kartofle jakieś są twarde,
Gdy się z nich skrobie łupinę.
Pewnie to wina piwnicy,
Bo w niej leżały przez zimę

* * *

A teraz mięsem się zajmę,
Wnet zrobię z niego kotlety,
Przyrządzę w bułce, usmażę...
Hm! Przypalone niestety!

* * *

I legominka też będzie —
A jakże! I jaka słodka
Taką ja lubię najbardziej ..
A resztki? Zostaną dla kotka!

Wieśniak i czereśnie

W upalny dzień czerwcowy powracał młody wieśniak Jasiek z pobliskiego miasta do swojej wioski. Jasiek jechał na osiołku, który nazywał się Bury. Długa droga i upał zmęczyły bardzo Jaśka i pragnienie dokuczało mu bardzo.

Przejeżdżając obok jakiegoś pięknego parku spostrzegł drzewo czereśniowe, którego gałęzie obciążone pięknymi owocami zwisały przez parkan nad drogą. Jasiek miał wielką ochotę narwać tych czereśni, ale były za wysoko.

Nagle przyszedł mu do głowy doskonały pomysł: zatrzymał osiołka, stanął na jego grzbiecie i zaczął zrywać czereśnie, które były doskonałe. Jasiek raczył się nimi w najlepsze i cieszył się ogromnie ze swego dobrego pomysłu.

Teraz trzeba tylko uważać, mówił głośno do siebie, żeby jakiś przechodzień nie zawołał na mojego osiołka: wio, Bury!

Osioł słysząc te słowa ruszył z miejsca, a Jasiek spadł na ziemię i potłukł się mocno.

Są okoliczności, w których lepiej milczeć!

Tłum. z franc. H. S.

Ponure przeżycie

(Dokończenie)

Po modlitwie — śniadanie: czarna kawa i mała kromka suchego chleba. A po tym — jako że była niedziela — wolny od zajęć czas. Niektórzy wyszli na podwórze bawić się, inni zaczęli nas wypytywać, skąd przyjechaliśmy, jak się nam tu podoba itd. Dowiedzieliśmy się, że wszystkie dzieci, które się tu leczą, są sierotami z różnych miast. Przeważnie były to dzieci katolickie. Wiele znich zaczęło nam wkrótce dokuczać.

Minęła niedziela z pierwszym trefnym obiadem i takąż kolacją. Do takiego jedzenia nie byliśmy przyzwyczajeni; płakaliśmy i nie jedliśmy. Ale płacz, ani skargi nie pomogły. Wróciliśmy w nocy do sypialni. I znów przeszła noc, po której pozostały mokre od łez jaśki...

*

Przykucnięte do ziemi baraki otoczone były wysoko sięgającym drutem kolczastym. Stanowiły one ciasne miasteczko, z którego wyjścia dla dzieci nie było. Tylko raz wyrwałem się pod ważnym pozorem na zewnątrz i wtedy nad bramą zauważyłem duży napis:

Zakład leczniczo-wychowawczy dla jagliczo-chorych.

Dokładnie pamiętam ten zakład. Były w nim trzy oddziały: 1) „czerwony“ dla pacjentów świeżo przybyłych; 2) „zielony“, do którego przechodziło się po rocznym lub dwuletnim podleczeniu w poprzednim oddziale; 3) „biały, w którym przebywało się jako rekonwalescent po półrocznym lub rocznym wyleczeniu w zielonym oddziale. Tu trzeba było pozostawać przynajmniej pół roku lub rok, poczym opuszczało się zakład.

Ponieważ leczenie trwało tak długo, przeto w zakładzie była też 7-mio klasowa szkoła powszechna. Była ona wspólna dla pacjentów z wszystkich trzech oddziałów. Tylko dla ochrony przed skutkami bezpośredniego stykania się chorych o różnych stanach leczonej jaglicy były w każdei klasie trzy rzędy ławek: osobny dla „czerwonych“, osobny dla „zielonych“ i osobny dla „białych“. Czerwonych prawie nigdy nie wołano do tablicy, aby nie dotykali kredy lub gąbki. W ogóle poziom nauczania w tej szkole był bardzo niski.

Również o wychowaniu otrzymywanym w zakładzie nic lepszego nie można powiedzieć. Nauczyciele i wychowawcy posługiwali się wyłącznie rózgą. Za najmniejsze wykroczenie przeciwko surowemu regulaminowi groziła bolesna chłosta, klęczka w kącie z podniesionymi ramionami, pozbawienie skąpego zasiłku. To też łzy prawie zawsze ciekły z chorych oczu dziatwy zakładowej.

Leczenie zaś polegało na tym, że raz na trzy dni przychodził lekarz, który zakraplał oczy lapisem. Bolało to tak silnie, że potym przez pół dnia nie można było widzieć co się dzieje na bożym świecie.

Także jedzenie było bardzo złe. Czarna kawa, razowy chleb (ze sieczką), wodniste zupki, a raz w tygodniu flaczki. Taki trzy razy dziennie podawany posiłek nie wystarczał, wiec głód był nieodstępnym towarzyszem. W dodatku spożywanie odbywało się jak wszystko inne na komendę i kto nie zdążył w przepisanym czasie zjeść, musiał resztę pozostawić i wraz z wszystkimi odejść od stołu. Gdyby przynajmniej można było wydalać się z zakładu, to może niejeden byłby sobie cokolwiek dokupił, ale i to było surowo wzbronione...

Grupka z naszego sierocińca była przekonana, że nie choruje na iaglicę, a przynajmniej nie w tym stopniu, aby pozostawać w oddziale „czerwonym“ jakie dwa lata, a później przejść do „zielonego“ na rok, a w końcu jakie pół roku przebywać w „białym“. Uważaliśmy, że żyć w takich warunkach trzy lub cztery lata jest rzeczą niemożliwą, a także szkoda nam było tego drogiego czasu. Wiedzieliśmy że po tym okresie wyjdziemy z zakładu złamani na całe życie, niczego nie nauczywszy się, niczego nie osiągnąwszy. Postanowiliśmy więc za wszelką cenę wyrwać się stamtąd.

*

Wszczęliśmy alarm, oczywiście pisemny. W licznych listach pisanych do zarządu naszego sierocińca przedstawiliśmy „uroki“ naszego życia. Ja byłem sierotą połowicznym to znaczy, że nie miałem tylko ojca. Moja matka, której wspomnienia te dziś poświęcam, z wielkim bólem oddała mnie do sierocińca tylko dla nauki i dobrego wychowania. Teraz zacząłem zwracać się do niej, aby mi zechciała przyjść z pomocą i wyrwała mnie z tego przeklętego zakładu. Również inne dzieci zwracały się z podobną prośbą do swych krewnych. Żądaliśmy tylko jednej rzeczy: wydostania się z tego piekła. I szturm nasz odniósł skutek: bliscy nasi wraz z Zarządem sierocińca postanowili przyjść nam z pomocą.

Bo jakże nie mieli tego uczynić, skoro ktoś z nas wyraził się w liście, że jeśli go nie uwolnią z tego zakładu, wówczas popełni samobójstwo. Pisał on całkiem wyraźnie: oto nieopodal baraków przechodzi tor kolejowy. Wystarczy w nocy wykraść się z zakładu, przedrzeć się przez druty kolczaste, a nadjeżdżający pociąg położy kres mękom i cierpieniom...

Listy te zrobiły wielkie wrażenie. Po kilku tygodniach przyjechała moja Mama. Jakże się ucieszyłem na jej widok! Padliśmy sobie w objęcia i długo szlochaliśmy. Ogarnął mnie bezmiar czułości i serdecznej wdzięczności dla tej zbiedzonej i chorowitej Matki, która nie szczędziła trudów ni starań, aby po mnie przyjechać i z baraków wybawić. Ach, Matka, najdroższy skarb na świecie! Szczęśliwi ci, którzy mają matki...

Nazajutrz na zawsze opuściłem zakład leczniczo-wychowawczy dla jagliczo-chorych.

Po dwóch dniach ponownej tułaczki po Krakowie i Lwowie byłem znów w swym rodzinnym miasteczku kresowym, w swym miłym domu, w sierocińcu.

Nie zadowoliłem się tym, że ja osobiście zostałem uwolniony z tego zakładu. Poczyniłem starania, aby także pozostałych wychowanków naszego sierocińca z tamtąd odebrać. Wkrótce też Zarząd wysłał tam jednego pana, który powrócił z dziećmi.

W naszym mieście B. poddano nas dokładnemu zbadaniu okuliście-specjaliście, który orzekł, że nie mamy trachomy, a tym samym możemy spokojnie powrócić do szkoły i do dawnego trybu życia.

Odtąd dni nasze popłynęły cicho i spokojnie. O ponurym przeżyciu w zakładzie leczniczo-wychowawczym rychło zapomnieliśmy.

J. Faerber - Leiner.

MARKI TIRSY

(Dokończenie ze str. 7-mej)

Dziś przybył do albumu Tirsy nowy gość. Biały, szeroki i duży.

To jest międzynarodowy, znaczek. Nie ma na nim żadnego widoku, ani godła państwowego. Nie można go nalepić na żaden list, ale na całym świecie, wszędzie gdzie są urzędy pocztowe, można go zamienić bez żadnej dopłaty na krajowy znaczek. Bo to jest znaczek przyjaciel wszystkich ludzi, znaczek dobrej woli. On pragnie, by mieszkańcy różnych krajów nie byli sobie tacy dalecy i obcy.

Jak to dobrze, że Tirsa ma go w swoim albumie, poprosi go, by porozmawiał z każdą marką, może niejedną z nich przekona i pogodzi.

E. Templer.

JAN LAS

Dalsze wędrówki listu

Listy, które mają odbyć bardzo długą drogę, wędrują często z jednego ambulansu do drugiego. Czasem adres wypisany na kopercie każe im udać się za granicę. Wtedy na stacji granicznej odbierają je urzędnicy sąsiedniego kraju i przesyłają dalej na swoich ambulansach. Istnieje umowa międzynarodowa regulująca warunki przejazdu (tranzytu) listowego poza granicami państwa, w którym list nadano. Powstał nawet Międzynarodowy Związek Pocztowy, do którego Polska należy od roku 1919.

Listy adresowane do krajów zamorskich wędrują ambulansem do miasta portowego. Tu czekają na odejście pocztowego okrętu. Nie każdy statek, kursujący stale między dwoma portami, jest okrętem pocztowym. Unia pocztowa zawiera umowy z towarzystwami okrętowymi i wybiera do przewozu korespondencji przeważnie statki pasażerskie jako najpewniejsze i najszybsze.

Linie okrętowe czerpią niemały dochód z przewozu poczty. To też starają się przewóz ten usprawnić i przyśpieszyć. Na największym parowcu pocztowym francuskim „Ile de France“ wprowadzono w roku 1928 bardzo ciekawe urządzenie: Gdy okręt znajduje się o dzień drogi od portu, z jego pokładu wznosi się ku niebu samolot, uwożąc ze sobą pocztę. Samolot szybszy od statku dociera do lądu w kilka godzin i przywozi pocztę znacznie szybciej.

Ten kombinowany przewóz poczty lotniczo-okrętowy zyskał licznych naśladowców. Francuzi czynią w ciągu lat ostatnich następujące próby: Z najbardziej wysuniętego zachodniego cypla Afryki wylatuje samolot pocztowy, kierując się ku brzegom Ameryki Południowej. Ponieważ odległość jest bardzo duża, zaś samolot obciążony pocztą i paliwem traci wiele ze swej szybkości, wyjeżdża mu naprzeciw z portu amerykańskiego t. zw. okręt-matka. Statek taki jest przystosowany do przyjmowania na swój pokład samolotów i do wysyłania ich w dalszą drogę. Posiada wszystko, co do tego celu jest potrzebne — zapasy paliwa, warsztat reparacyjny i — radio. Okręt-matka pozostaje przez cały czas w łączności radiowej z samolotem; radio umożliwia spotkanie się obu wehikułów pośród ogromnej pustyni oceanu. Z samolotu, który przybył, przenosi się pocztę do drugiego, a ten natychmiast rusza w dalszą drogę. Takie pływające lądowiska muszą jednak od czasu do czasu zawijać do portów i nie działają sprawnie podczas burzy morskiej. W głowach inżynierów amerykańskich powstał plan, aby w drodze z Europy do Ameryki umieścić na stałe kilka „pływających wysp“. Mają one służyć jako stacje poczty lotniczej. Przypuszczam, że w najbliższych latach plan ten zostanie zrealizowany.

Jeszcze podczas wojny światowej próbowano kilkarotnie wyzyskać samoloty do celów pocztowych nad lądem stałym. Tuż po wojnie we wszystkich krajach Europy i Ameryki utworzono stałe linie lotnicze, służące do przewozu poczty i pasażerów.



Rys. R. Apte.

Pocztowe przesyłki lotnicze wysyłane z Polski docierają dziś w ciągu jednego dnia do wszystkich krajów Europy, a najdalej dnia następnego bywają dostarczone adresatom. Do miasta Capetown w Afryce Południowej dociera poczta polska w ciągu 12 dni; okręty pocztowe zużyłyby na przewóz listów do Capetown 4 tygodnie czasu. Inne odległe kraje, jak Syjam i państwa południowo-amerykańskie mają z nami połączenie w ciągu dni 10. Gdzie niegdzie różnica czasu między dostarczeniem listu idącego pocztą morską i lotniczą wynosi okrągły miesiąc.

W Polsce zajmują się przewozem poczty „Polskie Linie Lotnicze Lot“. Z końcem roku 1935 „Lot“ pracował na 13 liniach, a posiadał 36 samolotów czynnych. Przebyły one w ciągu tego roku ponad 1 i pół miliona km i oprócz pasażerów przewiozły 408 tonn towarów i gazet, oraz 24 tonny listów. W październiku roku 1936 otwarto linię lotniczą Warszawa—Ateny, zaś w marcu 1937 przedłużono ją do Palestyny.

„Kto przyprawił dudkom koronę z piór?“

(Dokończenie ze str. 2-giej)

działa sobie na wyniosłej gałęzi i nie zwracała już uwagi na rodzinę swą i na koleżanki z innych rodów ptaszych, bo mawiała: Cóż to za hołota, abym z nią przebywała, wszakże złotą koronę mam na skroni!

A gdy pewnego razu myśliwy przyjrzał się dudkom i poznał ich obyczaje — nastawił na nie sidła i włożył w nie lusterka. Dudek sfrunął, aby się w nim przejrzeć i stroić się, jak zwykle. A tymczasem wpadł w zasadzkę. Gdy zaś ujrzał myśliwy jego koronę, uciął mu główkę, a koronę zabrał.

Tymczasem dowiedzieli się wszyscy o dudkach. Każdy więc zostawił zajęcie swe i sprawił sobie łuk i strzały. A gdy tylko ukazywał się dudek, trafiał go śmiercionośny pocisk. Źle więc się działo biednym dudkom i nigdzie nie znajdywały ratunku. Z dnia na dzień malała ich liczba, groziła im zupełna zagłada. Cały zaś naród był pogrążony w ciężkiej żałobie.

*

Wtedy to dopiero przypomniał sobie król dudków słowa Salomona, w dniu nadania mu korony. Puścił się więc w drogę daleką, przez pustynie i stepy, aby go myśliwy nie ujrzał i przybył przed oblicze Salomona. Opowiedział mu o niedoli swych braci i sióstr i ze łzami w oczach błagał o ratunek.

Wysłuchał król Salomon jego płaczu i rzekł:

— Widzisz, żeś głupio postąpił, prosząc o koronę złotą, a jam cię ostrzegał. Oto wasza duma i pycha was zgubiła. Ale gdy wspominam waszą piękną przysługę i teraz jeszcze pragnę wam pomóc z całego serca i dlatego dam wam koronę z piór zamiast złotej i nie będą wam teraz przeszkodą w życiu.

Wyszedł więc król dudków z koroną z piór na głowie. A od onego dnia przestali myśliwi polować na małe ptaszyny. Żyły więc odtąd dudki w ciszy i w spokoju, a gniazdeczka ich rozbrzmiewają do dzisiaj wesołym świergotem szczęśliwych ptaszą.

Czy wiecie że..

Gdybyście przez pół roku bez przerwy (a więc dzień i noc) jechali ekspresem, z szybkością 70 kilometrów na godzinę, przebylibyście przestrzeń, którą promień światła przebywa w ciągu sekundy (300.000 kilometrów).



Czy rośliny żyją?

Często zapominamy, że drzewa i kwiaty żyją podobnie jak my, że chcą żyć jak i my i że ciężko walczyć muszą, by zapewnić sobie i dzieciom swoim byt, podobnie jak walczyć muszą rodzice nasi. Nie skaczmy przeto po grządkach z kwiatkami, nie zrywajmy bezmyślnie liści i kory z drzew, gdyż w ten sposób zabijamy istoty żyjące, a sami z tego żadnej korzyści nie mamy.

Roślina pobiera pokarm z powietrza i ziemi i bez pokarmu podobnie jak człowiek lub zwierzę zginąć musi. Wiecie też zapewne, że rośliny mają dzieci swoje, o które się nie mniej starają jak każda inna matka. Przypatrzcie się jak wygląda wewnątrz ziarno pszenicy lub kukurudzy. Zobaczycie w nim oprócz części z której powstaje młoda roślina, także trochę mączki. Mączka ta — słuchajcie! to nic innego, jak tylko pożywienie, kawałek chleba, który matka-kukurudza lub matka-pszenica dzieciom swoim na drogę dała, aby miały na pierwsze dni, aż im korzenie i pędy wyrosną, aż będą na tyle już duże, że same sobie zapracować na życie potrafią. Czy mi już wierzycie, że rośliny żyją?

Gdybyście wiedzieli, że rośliny także czują, możebyście im mniej krzywd wyrządzali. A o tym właśnie, że drzewa i kwiaty czują, chcę wam dzisiaj opowiedzieć.

Rzućcie w ziemię trochę ziarna, a po pewnym czasie zobaczycie, że w jedną stronę wyrośnie pęd z liśćmi, a w drugą korzeń. Gdziekolwiek ziarno wpadło w ziemię korzeń wykrzywia się tak, że rośnie zawsze ku ziemi, pęd ku górze, ku słońcu. Korzeń znajduje się w ciągłym ruchu, szukając ustawicznie pokarmu.

Ale i pęd ze swoimi liśćmi nie spoczywa. Dla tych, którzy pracować nie chcą, chleba na tym świecie niema! On znowu zawsze szuka słońca, gdyż tylko w jego świetle korzystać potrafi z tych pokarmów, jakie nagromadziło dlań powietrze.

W nocy rośliny przestają pobierać pokarm i układają się do snu, by spocząć po całodziennej pracy. To nie są żarty! Czyście naprawdę jeszcze nie widzieli nigdy jak akacja lub szczawik stulają swe listki, o zachodzie słońca i nazajutrz z brzaskiem dnia znów je roztwierają. Piękne kwiaty, które przez dzień cały opalały swe główki na słońcu, zamykają się gdy słońce zachodzi, a budzą je dopiero ze snu promienie słoneczne. Są wśród kwiatów śpiochy, które śpią jeszcze gdy wy już dawno w szkołach jesteście, ale są i takie, które bardzo wcześnie się budzą. Kto z was blisko łąki mieszka i chciałby sobie trochę trudu zadać, przekonałby się rychło, że są pewne kwiaty, które się już przed godz. 4-tą budzą i otwierają, inne o piątej lub szóstej, jeszcze inne o siódmej lub ósmej i że są leniuchy, które dopiero o dziewiątej lub nawet dziesiątej wstają. Poznałby dalej, że jedne zamykają się już po południu, inne później lub dopiero wtenczas, gdy się ciemno robi. Gdyby ktoś z Was kwiaty te zebrał i u siebie w domu na oknie hodował i gdyby do każdej doniczki przylepił dwa numery, z którychby jeden oznaczał godzinę o której kwiat każdy rano wstaje, drugi zaś o której się do snu układa, miałby u siebie w domu t. zw. „zegar kwiatowy“ na którymby mógł odczytać godziny. Ja właśnie zrobiłem sobie w domu taki zegar. Przypuśćmy że budzę się rano i chcę wiedzieć, czy już pora do szkoły. Nic prostszego! Podchodzę do okna i widzę ,że kwiatek Nr. 6 się już otworzył, a kwiatek Nr. 7 jeszcze śpi. Wiem, że jest teraz mniej więcej pół do siódmej, czyli czas już wstać i iść do szkoły by się nie spóźnić. Nie myślcie, że tylko ja mam w domu taki zegarek i że zrobienie go wymaga wielkiego trudu. Nie! Jest to rzecz dostępna dla każdego. U nas w Dukli wszystkie dzieci mają swój własny „zegar kwiatowy“. Taki zegarek nie zawiedzie was ani razu przez calusieńki rok szkolny. Pamiętajcie, że chcąc by wam zegar wiecznie służył musicie jego kwiatki co dnia podlewać wodą.

Rośliny czują także, jeśli się ich ktoś dotknie. Najbardziej zaciekawiła by Was roślina hodowana u nas w cieplarniach t. zw. czułek wstydliwy. Nazywa się tak, ponieważ za dotknięciem lub już za silniejszym podmuchem wiatru stula swe liście i opuszcza je ku dołowi jakby zawstydzony.

Wiadomo Wam może także, że istnieje dużo roślin, które żywią się mięsem, do nich należy między innymi „rosiczka“, pospolita u nas na łąkach bagnistych. Piękna ta roślinka posiada u nasady łodygi liście osadzone na długich ogonkach, a na nich mieszczą się liczne włoski wydzielające lepką ciecz. Ciecz ta zlepia owadom, które się na te liście przypadkowo dostaną, skrzydełka i nóżki, włoski obejmują zaś ofiarę ze wszystkich stron. Gdy owad zostaje już strawiony, włoski znów się rozchodzą i na nowo czyhają na zdobycz. Najbardziej interesujące jest to, że jeśli na liść rosiczki dostanie się ziarnko piasku lub kamyczek, wówczas włoski się nie zamykają, jakgdyby wiedziały, że nie ma tu dla nic do zjedzenia. Inna z roślin mięsożernych żyjąca we wodzie t. zw. pływacz, posiada pęcherzyki. Gdy do pęcherzyków tych dostaną się raczki lub nawet młode rybki, pęcherzyki szczelnie się zamykają tak, że zdobycz umknąć nie może.

Z przytoczonych przykładów poznaliście, że roślina nie tylko czuje, lecz także może się poruszać. Widzieliście już, że korzeń porusza się pod ziemią, że pędy zwracają się ku słońcu, że kwiaty otwierają się i zamykają, że rośliny mięsożerne obejmują ciało owadów i t. d. Znane są też pewne grzyby śluzowe, które przez pewien czas posiadają zdolność pełzania po drzewach, wchodzą do wnętrza szczelin pni i znów wychodzą.

Widzicie więc, że rośliny żyją i czują. Pomyślcie... jak smutną i pustą byłaby ziemia nasza bez łąk i lasów, a zrozumiecie, że nie powinno się roślin niszczyć bezmyślnie, lecz otaczać je troskliwie opieką.

Jakub Matzner, Dukla

Dzieci piszą...

Historia naszego sztandaru

Już dawno pragnęłyśmy mieć własny sztandar. Czy wy pojmujecie co to znaczy **własny sztandar?** Zazdrościłyśmy szczęśliwym dzieciom z innych szkół, które podczas przeróżnych uroczystości maszerowały przez ulice dumne i uśmiechnięte, niosąc własny sztandar. Szkołę naszą mało widywano w pochodach.

Więc pewnego razu poszłyśmy do pani dyrektorki z prośbą: — Pragniemy mieć własny sztandar!

Pani dyrektorka odrzekła: Własny sztandar?... To bardzo pięknie! Ale

wszak wiecie, że szkoła nasza jest uboga i nie ma pieniędzy. Chcecie mieć sztandar, musicie same na niego zapracować.

Więc w klasach zaczęły odbywać się narady, jak zdobyć pieniądze na kupno sztandaru.

Pierwszy projekt umyśliła nasza klasa i zrobiłyśmy na robotach coś do sprzedaży.

— Chorągiewki po 5 groszy, chorągiewki! — — rozległy się nasze głosy w sali, gdzie miał się odbyć poranek szkolny.

I oto ku wielkiej naszej uciesze zarobiłyśmy **pierwsze pieniądze: 3 złote.** Radość pani dyrektorki była wielka.

Starsze koleżanki robiły chusteczki i kołnierzyki, które rozsprzedawały między kależankami. Nasza klasa postanowiła robić ze starych gałganków portmonetki i piórniki. Robiłyśmy też korale z kolorowego papieru i przeróżne rzeczy.

Tak upłynęły 2 lata. Z grosików i złocików uzbierałyśmy **220 złotych!**

Czy pojmujecie naszą radość?... W najbliższych dniach odbędzie się poświęcenie **naszego sztandaru.** Tym większa radość, bośmy go sobie własną pracą zdobyły.

Gola Rosenstrauch
ucz. kl. IV. szk. im. Kl. Tańskiej w Krakowie

Dzień Matki w naszej szkole

Chciał pech, że prawie w Dzień Matki zaczął padać deszcz. A ten dzień miał być uroczyście obchodzony w parku i długo czyniliśmy do tego przygotowania. Przy dźwiękach naszej szkolnej orkiestry mieliśmy maszerować z transparentami wzdłuż całego parku. To miał być imponujący pochód.

Tymczasem deszcz zepsuł nam piękne plany i w ostatniej chwili musieliśmy się uczyć nowych ćwiczeń. Uroczystość ta odbyła się w teatrze, a my maszerowaliśmy z transparentami przez widownię. Jednak mimo deszczu, święto Matki wypadło u nas bardzo ładnie.

Jochanan Tartakower
ucz. kl. VI. pow. pryw. gimn. Tow. Szkół Żyd. w Łodzi

Dar dla ofiar Brześcia

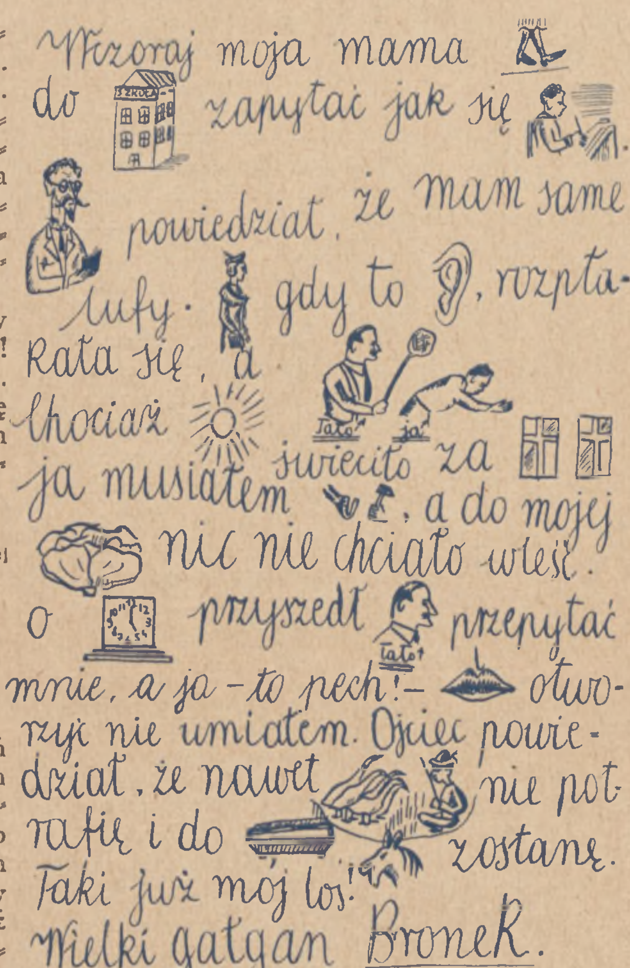
Kochane Okienko!

Postanowiłem przeznaczyć **5 Zł.** które dostałem jako dar imieninowy dla nieszczęśliwych ofiar z Brześcia i sądzę, że i inne dzieci pójdą moim śladem.

Edziu Zucker
dwór Niebylec k. Rzeszowa

przez Wesołe Okienko

Wielka awantura w domu!



Śmiejmy się...

ROZMOWA Z FILOZOFEM

Wielki filozof, idąc przez ulicę, zauważył jak ludzie gonili człowieka i wołali: — Łapać mordercę!... Łapać!... Morderca przebiegł tuż obok filozofa, a ten jakby nigdy nic, szedł sobie spokojnie dalej.

— Czy pan jesteś głuchy? — krzyczy na niego jakiś człowiek. — Dlaczego nie zatrzymałeś pan tego mordercy, kiedy przebiegał obok?

— Mordercy?... dziwi się filozof. Co to jest morderca?

— Co za pytanie?... To taki, który zabija!...

— Taki, który zabija to przecież rzeźnik i wy goniliście rzeźnika?

— Dlaczego nie rozumiecie, stary koniu, że **mordercą** nazywa się ten, który zabija **drugiego człowieka?...**

— Aha, to wy myślicie żołnierza!...

— Nie myślę żołnierza, ale **człowieka,** który zabił **człowieka** w czasie pokoju!...

— Więc tak mówcie!„To kat!

— Ośle wielki! — krzyczy już tamten wyprowadzony z równowagi. — Ten morderca zabił człowieka na swoim posłaniu u siebie w domu! Już zrozumiane?!...

— Aha!... Teraz już wiem... Myślicie doktora!

WSZYSTKO MA

Handlarz: Igły, szpilki, pasta, szczoteczki do zębów... Kup pan coś u mnie...

Przechodzień: Odczep się nie zawracaj głowy...

Handlarz: ...skarpetki, guziki, czepki do pływania, mydło pachnące...

Przechodzień: Odczep się, bo lecę po policjanta.

Handlarz: Po co macie lecieć do policjanta i zmęczyć się? Ja mam także gwizdki policyjne do sprzedania.

STARY WYNALAZEK

— Dlaczego jesz palcami? Przecież już wynaleziono łyżki.

— **Ale palce jeszcze przedtem wynaleziono.**

W SZKOLE

Profesor: W którym kraju rządzi kalif?

Romcio: W Kalifornii.

SEN ROMCIA

Romcio wstał z krzykiem ze snu.

— Co tak krzyczysz? — pyta go ojciec.

— Meir wziął mi 10 groszy!

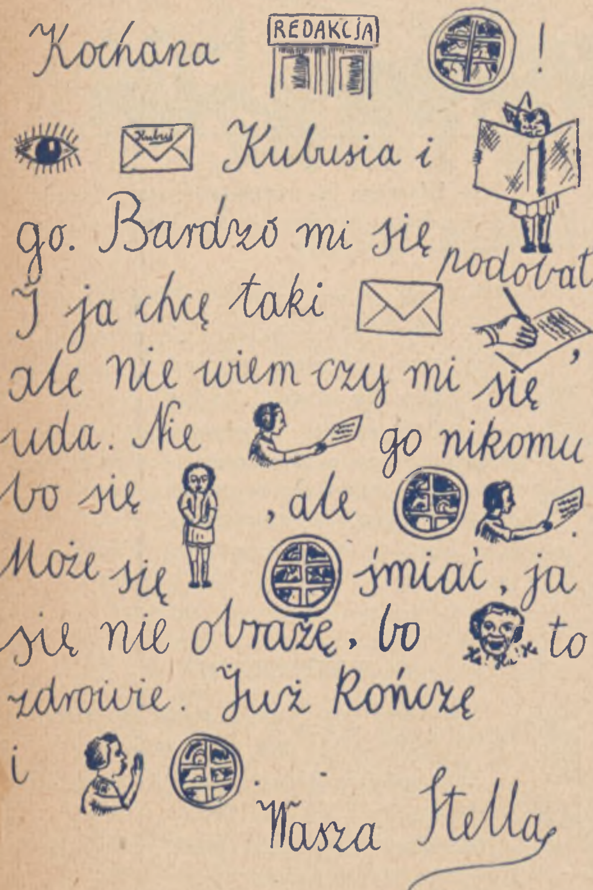
— Jaki Meir?...

— Co, nie wiesz? Przecież byłeś przy tym jak mi się śniło!...

Żarciki na tej stronie umieszczone, nadesłał do „Wesołego Okienka"

J. Ejbuszyc (Biała)

Stella pisze list do Redakcji



„ODKRYCIE AMERYKI"

W pewnej szkole nauczyciel kazał napisać zadanie o Kolumbie i o odkryciu Ameryki. Jeden z uczniów napisał następujące zadanie:

„Kolumb był to człowiek, który potrafił postawić jajko na jednym końcu. Król hiszpański powiedział do Kolumba: — „Czy potrafisz odkryć Amerykę? — „Tak", odpowiedział Kolumb, „jeżeli dostanę okręt". Dostał więc okręt i pożeglował przez morze w stronę, w której — jak sądził — powinien był znaleźć Amerykę. Marynarze kłócili się i powiedzieli, że im się zdaje, że nie ma takiej miejscowości. Ale po wielu dniach sternik przyszedł do niego i powiedział: — „Kolumbie, widzę ziemię". — „W takim razie to jest Ameryka" powiedział Kolumb. Kiedy okręt zbliżył się, ziemia była pełna czarnych ludzi. Kolumb powiedział: — „Czy to jest Ameryka?" „Tak jest" — odpowiedzieli oni. Potem powiedział: „Przypuszczam, że wy jesteście Murzyni?" — „Tak jest" — odrzekli. Naczelnik ich powiedział: „Przypuszczam, że ty jesteś Kolumb?" — „Masz słuszność" — powiedział ten. Wtedy naczelnik zwrócił się do swych ludzi i rzekł: „Nie ma na to rady; nareszcie zostaliśmy odkryci".

A MOŻE NAPRAWDĘ?

Raz zapytał profesor w szkole ile nóg ma krowa, Romcio odpowiedział:

Krowa ma 4 nogi na każdym rogu, a dodatkowo ma jeszcze dwa rogi na głowie.

WYNIK KONKURSU
na rebusowate listy

Otrzymaliśmy **13 liścików**, z tych **9 od dziewczynek** (znów górą dziewczynki!) i **4 od chłopców**. Ale ponieważ wśród tych liścików nie było szczególnie **ciekawych, dowcipnych i oryginalnych** (może to wina fatalnej 13-ki?) Redakcja „Okienka" postanowiła nie przeznaczać nikomu pierwszej nagrody.

Natomiast tym, którzy nadesłali najlepsze prace — **JAKUBOWI KLEINPLATZ, KRAKÓW, KALWARYJSKA 34** (autorowi **listu „Jaka" do Kubusia**, zamieszczonego w poprzednim numerze) i **SALI EITINGER KRAKÓW, CELNA 12** (autorce listu drukowanego w dzisiejszym numerze z podpisem „wielki gałgan Bronek) przeznaczamy — jako **dwie drugie nagrody wieczne pióra do kreślenia nowych listów. Trzecia nagroda — automatyczny ołówek** — przyznana została **STELLI PAPERLE, RYTRO.**

Na szczególną uwagę zasługują także ogromnie miłe liściki Meli Dresner, Dosi Haubenstock, Emilii Kreiswirth, Benusia Fleischmana — z Krakowa, jakoteż Markusa Wilda (Gorlice) i Jonatana Ejbuszyca (Biała k. Bielska).

Być może, że Redakcja jeszcze wydrukuje któreś z tych liścików w numerach powakacyjnych.

Konkurs zamykamy, ale, zapraszamy do nadsyłania w dalszym ciągu wesołych i dowcipnych liścików rebusowatych, (muszą być pociągnięte tuszem), które wydrukujemy w „Okienku".

NAGRODY „OKIENKA" za rozwiązanie zagadek.

I tym razem szczęśliwy los wybrał sobie same dziewczynki. A wiecie dlaczego? Bo trafne rowiązania z Nr. 5 nadesłały prawie same dziewczynki. A wy, chłopcy, co na to?

Pierwszą nagrodę — prześliczną i bardzo ciekawą książkę **IRENY SZCZEPAŃSKIEJ „Uskrzydlona Przygoda"** uzyskała

Judyta Engel, Kraków, Augustiańska 30
drugą — czekoladki firmy „SUCHARD"
Renia Richter, Kraków, Katarzyny 3
trzecią — ołówek automatyczny
Stoffówna Maniusia, Bochnia, Kraszewskiego 18.

Nagrody są do odebrania w Redakcji (Lubicz 24) codziennie między 3—4 pop. Zamiejscowym wyślemy pocztą.

KONKURS Z NAGRODAMI DLA CZYTELNIKÓW

Drukujemy dziś 6-ty i zarazem **ostatni** kupon i przypominamy, że tylko ci mogą brać udział w **Konkursie dla Czytelników** i wygrać **piękne nagrody**, którzy nadeślą nam **wszystkie 6 kuponów razem.**

Wynik Konkursu ogłosimy po wakacjach.

Skrzynka pocztowa

LIST „OKIENKA" do „OKIENKOWYCH" DZIECI.

„Okienko na świat" — tak jak i Wy, Przyjaciele — wyjeżdża na wypoczynek letni, a wróci do przerwanej pracy z końcem sierpnia.

Wiemy jednak, jak bardzo cieszycie się „Okienkiem", a i jemu żal byłoby rozstać się z Wami na tak długo, pragnie więc „Okienko" tym podwójnym numerem pełnić służbę także i na wakacjach.

W numerze tym jest wiele ciekawych i wesołych rzeczy, — wierszy, opowiadań, bajek i t. d. Myślimy, że znajdziecie odpowiedni czas — nawet i podczas lata — aby przeczytać w całości i opowiedzieć o nim Waszym koleżankom i kolegom wakacyjnym — dzieciom z przeróżnych miast i miasteczek, które „Okienka" jeszcze nie znają.

Mamy już wśród Was ogromną ilość oddanych przyjaciół, lecz musimy mieć ich więcej, coraz więcej i więcej, aby to małe „Okienko" mogło stać się WIELKIM OKNEM skupiającym dokoła siebie wszystkie dzieci.

Czy zechcecie nam w tym pomóc, Przyjaciele?

Wasze „Okienko"

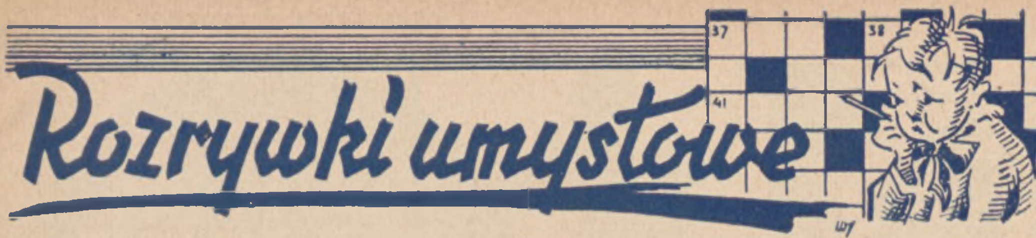
Dzieciom, które nadesłały nam przeróżne prace dla „Okienka", jakoteż bardzo kochane listy — **Mirze Klein, Inie Scherer, Reni Knoll, Moniowi i Zydze Wimisner, Dinie Weitz, „uczniowi kl. II, z Czarneckiego 10"** (zapomniałeś dziecko podać swe nazwisko), **Rimonowi Heller, Guci Stendig, Dinie Weinberger, Urielowi Szmulewicz, Edziowi Zucker, Wiktorowi Statter, Salusi Gutfreund** — dziękujemy bardzo serdecznie. Prace nadesłane dla „Okienka" rozpatrzymy osobno. Te, które się nadadzą, wydrukujemy w „Okienku".

KTO NADESŁAŁ ZAGADKI?

Uriel Szmulewicz, Maryla Frohwirth, Uri Dan Kohn, Rózia Jakubowicz, Grossman G., Dosia Haubenstock.

W ostatnich dniach wyszedł z druku tomik poezji „W cieniu życia" Minki Silberman, (autorki wiersza „Pożegnanie ze szkołą" zamieszczonego w dzisiejszym numerze). która prześlicznymi wierszami drukowanymi w Okienku („O tym jak dzieci telefonowały do Wiosny", „Pierwsza wizyta w Okienku", „Pierwszy koncert") zwróciła uwagę i pozyskała sobie naszych czytelników.

Jak się dowiadujemy, wszystkie jej wierszyki pisane dla dzieci, które porozrzucane są po różnych gazetkach, wydane zostaną w osobnej książce dla dzieci







Rys R. Apte

„Okienko“ pokazuje Wam tutaj coś nowego. Przyjrzyjcie się dobrze tej rycinie. Przedstawia w górnej części krajobraz, w którym znajduje się staw. Jest łódka na wodzie, obok płynie korek, na łące, tuż przy stawie stoi puste krzesło. W powietrzu, nad bielizną, porozwieszaną na sznurze, leci piłka tenisowa. Mała dziecinna zabawka — kaczka — płynie opuszczona po wodzie. Przy drodze kołuje zaś rower „bez pasażera“ a wyżej, w zagadkowy sposób wiruje w powietrzu kawałek sznurka To opuszczona łąka.

Na dolnym obrazku znajduje się kilkoro dzieci, które są czymś zajęte. Ale czym? Oto pytanie. Trzeba więc przenieść je z powrotem na opuszczoną przez nich łąkę i poustawiać w właściwych miejscach, oznaczonych cyframi. Dla ułatwienia każde dziecko oznaczyliśmy pierwszą literą swego imienia. Waszym to zadaniem podać, która **litera** do której **cyfry** należy.

ZADANIE CHIŃSKIE

W klatce zamknięto króliki i kury. Zwierzęta te mają razem 35 głów i 94 nóg. Wiele jest w klatce królików, a wiele kur?

PYTANIE ŻARTOBLIWE

W rodzinie jest 5 synów. Każdy z nich ma jedną siostrę. Ile dzieci ma ta rodzina?

Zagadka na czasie.

— — — + — — — — — +
— — + — + — — — + —
— + — — — + — + — —
+ — — — — — + — — —

W kratki wpisz pionowo 10 słów czteroliterowych. Krzyżyki dadzą rozwiązanie.

Znaczenie słów: 1) imię męskie 2) napój 3) zwierzę 4) imię męskie 5) miesiąc żydowski 6) osada 7) zebranie 8) materiał opatrunkowy 9) imię rosyjskie 10) napad.

Nad. Grossman G.

CO PIJĄ TE DZIECI

M. Kleo i Mania Ledo

nad. Ina Scherer

JAKI JEST ZAWÓD TEGO PANA

R. Korodżar

nad. Uri Dan Kohn.

ZAGADKA O WINIE BIAŁYM I CZERWONYM?

Pan Kalasanty miał 2 naczynia litrowe wypełnione winem. W pierwszym naczyniu jest wino czerwone, w drugim białe. Z naczynia pierwszego przelał łyżkę płynu do naczynia drugiego i wymieszał dobrze. Następnie przelał łyżkę płynu z naczynia drugiego. do naczynia pierwszego.

I myśli sobie: teraz już nawet niewiem czy jest więcej wina białego w naczyniu pierwszym, czy też wina czerwonego w naczyniu drugim.

Układanki z rymem

Gdy jestem mały
Tom pożyteczny;
Zawsze potrzebny,
Często konieczny.
Lecz bym nie wzrósł
Uważać masz,
Bom wtedy straszny
Choć istnieje straż.

nad. S. S. Średnia Wieś.

2) Wiązanka jarzynki,
a zaimek potem —
Wsuń w to list, a adres
już nie jest kłopotem.

ul. „Słoneczko“.

CO TO JEST?

Nie może sfrunąć z ziemi
ptak olbrzymi,
choć skrzydła ma aż cztery
i macha nimi.

nad. Maryla Frohwirth (ucz. kl. V).

KONKURS DLA CZYTELNIKÓW
KUPON Nr 6

KUPON DO ZAGADEK

Arytmograf

	Znaczenie wyrazów:
10 3 1 11 3	inaczej słuszność
12 3 1 2 13 14 3	dodanie odwagi
1 3 8	miara długości
3 10 1 2 4 14 16 9 14	projektuje budowle
14 16 10 5 4 14 17	groźne owady
7 3 6 11 19	instrument muzyczny
5 3 10 3 14 19 6	miejscowość wsławiona bitwą starożytną
3 9 1 11 3	działanie
3 2 3	wykrzyknik
2 19 5 16 10	wielki poeta starożytny
8 4 3 6 3	pnącze w dżunglach
14 16 6 4 20	gra sportowa
9 19 7 10 3	jadowity wąż
5 4 14	podanie starożytne
7 19 2 3 14 16 10	bardzo dzielny człowiek
15 3 8 5 3	drzewo południowe
19 8 4 18 3	tłuszcz
19 9 3	rzeka w Rosji.

Jeżeli zamiast cyfr wstawimy odpowiednie litery otrzymamy w rzędzie środkowym z góry na dół czytane imię i nazwisko wielkiego poety.

Przemiana wyrazów

T A C A

____

____

____

____

____

____

K R E S

W jaki sposób z T A C Y powstał K R E S ?

W każdej linijce wolno zmienić tylko jedną literę i tworząc w ten sposób coraz nowe słowa dochodzi się do ostatniego

Rozwiązanie zagadek z Nr 7 — 8 nadsyłać można **najpóźniej** do dnia 6 sierpnia br.

Nazwiska tych, którzy rozwiązali zagadki z Nr 6 oraz nagrody ogłosimy w następnym numerze.

KOCHANE „OKIENKO"

Szłam ulicą, prawie w chwili, kiedy z tajemniczego **afisza** rozsypały się chłopczykowi litery. Pomagałam mu je zebrać, ułożyć i odczytałam następujące słowa: MAMUSIE PROSIMY, ZAABONUJCIE NAM W TYGODNIU DZIECKA „OKIENKO NA ŚWIAT". Chcę iść do mamusi, a tu zastępuje mi drogę groźny HERKULES. — Czekaj, — pomyślałam sobie — niechaj tylko ustawię strapionemu oficerowi jego **421 ŻOŁNIERZY**, a on napewno przeznaczy ich do walki z tobą. Lecz w tej właśnie chwili... zbudziłam się.

Rozwiązanie to, z Nr 5, nad. *R. RICHTER*

TRAFNE ROZWIĄZANIE z NR. 5 nadesłali: Bronka Lemberger, Marysia Frohwirth, Schreiber Aleksander, Sala Eitinger, Judyta Engel, Mina Gross, Nisia Samuel, Rózia Jakubowicz, Renia Richter, Dina Weinberger, Sydka i Saluś Zeuger — Kraków, Lila Bieder (Warszawa), Zofia Laub (Lwów), Judyta Propper (Wadowice), Stoffówna Maniusia (Bochnia), Edziu Zucker (dwór Niebylec k. Rzeszowa) Krysia Reich (Chrzanów).

Pamiętajcie
że rozwój Okienka
zależy od ilości
jego abonentów.

Abonament miesięczny — 40 gr — kwartalny — 1·10 zł — półroczny — 2 zł

Ceny ogłoszeń: Cała strona 200 zł — 1/2 strony 120 zł — 1/4 strony 70 zł — 1/8 strony 40 zł — 1 mm 40 gr

Wszelkie wpłaty uskuteczniać można w każdym Urzędzie poczt. przekazem rozrach. Nr. 23 (bez opłaty)

Adres redakcji i administracji: **Kraków, ul. Lubicz 24 — Telefon Nr 106-76**

Adres red. Hirschprunżanki dla korespondencji: Kraków, ul. Bonerowska 2/2

Drukarnia Literacka Kraków, Pl. Zgody 4 — Telefon 185-18